

GDZIE TO



GDZIE

ZAGRAŁY TRĄBKI MYŚLIWSKIE?..

ORGAN TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, OLGIERD ŚWIDA WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ PAWLIKOWSKI, JAN BOROWSKI

Głównym warunkiem pomyślnej rozmnoży zwierzyny — to spokój w łowisku!

PRASA CODZIENNA A ŁOWIECTWO

Obojętność dla spraw łowieckich i słabe zrozumienie zadań i znaczenia współczesnego łowiectwa są, niestety, cechami całej niemal (bo tylko z nader nielicznymi wyjątkami) polskiej prasy codziennej. A szkoda, wielka szkoda, — bo właśnie prasa codzienna, dzięki olbrzymiemu rozpowszechnieniu, mogła by nieocenione usługi przynieść prawdziwemu łowiectwu chociażby przez umieszczanie zrzadka drobnych wzmianek w sprawach łowieckich np. przypomnień o terminach ochronnych, komunikatach o poczynaniach z zakresu ochrony przyrody i t.p. Fachową prasę łowiecką czytują przeważnie tylko myśliwi, natomiast gazetę czyta każdy człowiek inteligentny. A prawdziwym myśliwym chodzi właśnie o pewne **minimum zainteresowania** i zrozumienia dla łowiectwa wśród szerszych warstw inteligencji, które dotąd wyzbyć się nie może tępego przekonania, że łowiectwo jest tylko rozrywką, lub w najlepszym razie — dwudziestorzędną kwestją wśród tylu innych ważniejszych kwestyj społecznych...

Myśliwi zniechęcą się stoicyzmem ten stosunek prasy do łowiectwa, gdyby taki stosunek kończył się tylko na tej obojętności. W istocie jednak jest jeszcze gorzej. Bowiem prasa codzienna, nie informując prawie nigdy czytelników o istotnych, rzeczowych i ciekawych aktualnościach łowieckich, pozwala sobie zbyt często hasać po polu dla siebie obcem, zdradzając horrendalną i gnuśną ignorację w sprawach łowieckich. Wyszane z palca brednie o napadach stad wilczych na ludzi, o pożarciu przez wilki nieszczęśliwej staruszki, o potyczce patroli straży granicznej z wilkami — znamy aż nadto dobrze. Gdy taka, za przeproszeniem — niemądra wiadomość zjawia się w kronice wypadków jakiejś gazety to fakt podobny można jeszcze usprawiedliwiać brakiem materiału sensacyjnego do danego numeru. Lecz gdy głupstwa podobne powtarzają się stale, niemal w regularnych odstępach czasu — prawdziwego myśliwego ogarnia niepokój.

Fakty takie są poprostu niepokojące dlatego, że, po pierwsze — rodzi się pytanie, jakież to „znawca“ robi z siebie eksperta w sprawach łowieckich grając rolę stałego „źródłowego“ informatora łowieckiego w danym organie prasy? po drugie — alarmy podob-

ne nie pozostają bez echa, ekscytując domorosłych Ossendowskich i Jack-Londonów do dzikich pomysłów organizowania ekspedycji karno-wilczych na terenie województw Wschodnich. Biedne nasze województwa Wschodnie stają się i pod tym względem upośledzo-

wiektwa, niż ma, przypuśćmy, komunikować takie rewelacje, jak — że rysie w Polsce wyginęły i że je można widzieć tylko na starych obrazach, a że głuszcze i cietrzewie istnieją tylko w barwnych feljetonach (gaz. Warszawska z dn. 1 9. rb., artykuł „Nasze b.

bo jeżeli autor artykułiku „Nasze b. myśliwstwo“ biadał nad zanikiem zwierza myśliwskiego), lecz bądź co bądź działał w najlepszej intencji — ratowania zagrożonej naprawdę fauny. Atoli „autor“ wzmianki kronikarskiej z nr. 213 „Dziennika Wileńskiego“ (z dn. 17. 9. rb.) namawia wręcz myśliwych do polowania na zające już od dnia 1 października, jakkolwiek rozporządzenie p. wojewody Wileńskiego z rb., wydane dla ratowania malejących zwierząt stanów zajęczych przedłużyło ochronę na szaraki i bielaki do dnia 15 listopada. O wydanym rozporządzeniu zostały wydane **parokrotne** komunikaty do prasy. Niestety przez pewien odłam prasy wileńskiej komunikaty te zostały zignorowane i zapewne powędrowały do kosza, natomiast zjawiała się wspomniana wzmianka — mylna, wprowadzająca w błąd czytelników, a więc — szkodliwa.

Nie jestem pesymistą. Wierzę, że niedalekim jest dzień, gdy każdy uświa domiony członek społeczeństwa, chociażby do flinty i myśliwstwa miał wstręt wrodzony, umieści jednak **łowiectwo prawdziwe** (synonim ochrony przyrody) na miejscu odpowiednim w sferze społecznych zainteresowań człowieka inteligentnego. Zanim to jednak nastąpi, mniemam, że będę rzecznikiem prawdziwego łowiectwa, gdy zgłoszę apel pod adresem polskiej prasy codziennej: Panowie! jeżeli macie podawać w sprawach łowieckich informacje błędne, to lepiej tych informacji nie podawajcie wcale!

Patryjotyzm „regionalny“ każe mi stwierdzić z prawdziwą satysfakcją, że apel mój nie dotyczy prasy wileńskiej, mającej naogół dla łowiectwa należyte zrozumienie. Nie dotyczy on zwłaszcza „Słowa“ które od szeregu lat udziela na swych łamach gościny sprawom łowieckim gościny niezupełnie bezinteresownej, lecz niemniej b. serdecznej... Niestety pewien organ prasy wileńskiej stanowi tu wyjątek — chroniczny...

Michał K. Pawlikowski.

ROCZNA SKŁADKA CZŁONKOWSKA W TOWARZYSTWIE ŁOWIECKIM WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO WYNOŚI 17 ZŁOTYCH t.j. MNIEJ NIŻ CENA PÓŁ SETKI ŁADUNKÓW...



Pierwszy głuszc...

ne, sprawiając u przeciętnego mieszczucha warszawskiego czy krakowskiego wrażenie jakichś pól dzikich, gdzie na wet w granicach „wielkiego Wilna“ groźny wilk czyha na życie ludzkie.

Mniejsze jednak o wilki — chodzi mi o coś bez porównania ważniejszego, choć bardziej codziennego.

Lepiej zupełnie nie informować, niż informować źle. Lepiej zupełnie o czymś nie pisać, niż wypisywać, mówiąc delikatnie — nieścisłości. Sądzę, że zdziałam w interesie prawdziwego łowiectwa, gdy powiem: — niech raczej nasza prasa codzienna (lub raczej jej olbrzymia większość) trwa nadal w swej olimpijskiej obojętności do ło-

myśliwstwo“), chociaż rysy pada u nas w Wileńszczyźnie po kilka sztuk każdej zimy (w woj. Stanisławowskim są rysie zwierzyną niemal pospolitą), głuszców tokujących niżej podpisany sam słyszał co najmniej ze 40 ście na przetrzeni **jednego**, co prawda najpiękniejszego w Polsce, tokowiska, a cietrzewie... Wystarczy być na dworcu Wileńskim i widzieć rozradowane twarze nemrodów wracających z polowania a obłożonych „farbowikami“... Wystarczy wreszcie przejrzeć menu pierwszej lepszej restauracji wileńskiej.

Albo inny kwiatek. Znacznie gorszy bo jeżeli autor artykułiku „Nasze b. my

Czarny bóbr w Grodnie

Osiadła bobrowe, tak zwane żere-mia, były obfite kiedyś w dawnej Pol-sce, a szczególnie na Polesiu, oraz nad brzegami Wisły i Bugu. Niestety! tak nieopatrznie gospodarzyliśmy na tem polu, że dziś bóbr należy do wielkich a cennych rzadkości, a słanowiska jego otaczamy czułą opieką i czujną strażą, ba! nawet zakładamy sztuczne osiedla bobrowe. A już zgoła do unikatów na-leży **czarny bóbr**, który ongiś zaliczany do najprzedniejszych, był znany dobrze na ziemiach polskich pod nazwą bobra litewskiego.

Bytujący obecnie w Szkolnym Ogro-dzie Biologicznym w Grodnie **czarny bóbr**, wzbudził zainte resowanie w ca-łej Polsce. Oglądało go już wielu uczo-nych, a ostatnio między in. prof. uniw. dr. Edward Schechtel i prof. uniw. dr. Władysław Szafer.

Historja znalezienia się tego bobra w Grodnie jest interesująca. W okoli-cach Łunny (pow. Grodno) ubił w ostatnich latach jeden z chłopów bo-bra, a po spieniężeniu go — naturalnie żydowi — dokończył budowy własne-go domu. W niejakim czasie dom ten spłonął doszczętnie z niewiadomych przyczyn, a wśród okolicznego chłop-stwa gruchnęła straszna wieść, że to kara Boża za uбиcie bobra. Odtąd nikt z okolicznych chłopów nie zabije bo-bra. Jednak przebiegły chłop postępu-je inaczej. Napotkane zwierzę zmasa-kruje kołami niemożliwie i czeka aż ono, ledwie się poruszając, zginie w najbliższych dniach. Wtedy chłop bie-rze bobra, spokojny, że zwierza nie za-bił... tylko samo... zginęło. Nie ma to jak chłopskie rozumowanie!..

Czarny bóbr grodzieński należy właśnie do takiego bobra ciężko przez chłopą pobitego. Zmaltretowane nie-miłosiernie zwierzę siedziało na nie-meńskiej wyspie w pobliżu Łunny. Do-wiedziała się o tem tamtejsza wielce uspołeczniona nauczycielka M. Rein-hardtówna i doniosła o tem telegraficz-nie inżynierowi Kochanowskiemu w Grodnie, który odwrotnym pociągiem wyjechał do Łunny. Tu po całodniowej gonitwie po Niemnie i jego zarośnię-tych brzegach i wysepkach, zdołano wreszcie schwycić żywego bobra do silnej sieci rybackiej. Nieszcześliwy był widok tego zwierzęcia. Oprócz ogólnego potłuczenia, a szczególnie głowy, miał brak prawego oka i zmiaź-dżoną prawą przednią nogę.

Przywieziony do Grodna, oddany został pod opiekę lekarską, która oka-zała się zbawienną. Wyliżało się bie-dactwo, zrosła mu się noga w gipsowej opasce, lecz tylko oko nikt mu już nie wróci. Wpuszczony do basenu głębo-

kości 80 cm., a 2:15 m. średnicy, za-żywa często kąpiele, poza tem ma tuż postawioną wygodną budkę, w której spoczywa. Nadzwyczaj miłe wrażenie

nie słusność wyrażenia „płakał jak bóbr“.

Niecodziennym tym okazem powin-ni się zainteresować w pierwszej linji



Inż. J. Kochanowski przy czarnym bobrze
(ze zbiorów kapitana Kobylańskiego)

zrobiło na mnie to nader ciekawe zwie-rzę, wypasione pod troskliwą opieką inż. Kochanowskiego. Opowiadano mi, że chory bóbr, gdy mu zakładano opa-trunek, stękał jak człowiek i płakał rzę-sistemi łzami, potwierdzając dowód

przyrodnicy i myśliwi województwa wileńskiego, jako najbliżsi Grodna. Nie każdemu bowiem jest dane w ży-ciu, widzieć żywego bobra, a tem mniej czarnego.

Józef Władysław Kobylański.

NASZE ZWIERZOSTANY

Spędzając obecnie lato w kilku miej-scowościach dosyć od siebie odległych, miałem możność obserwować zwierz-o-stany paru naszych powiatów, które kolejno rozpatrzę.

W gminie Mejszagolskiej, pow. Wi-leńsko-Trockiego, sezon letni był kata-strofalny dla zwierzyny wodnej i błot-nej. Kaczek nie było zupełnie, gdyż wszelkie błota i rzeczki wyschły. Je-dynie na dużych jeziorach widywałem nieliczne stadka cyranek, nie przekra-czające 8 sztuk. Krzyżówki spotykałem tylko pojedynczo. Po ginących kału-żach brodziły kszyki, zresztą bardzo

nieliczne. Lepiej natomiast przedsta-wia się sprawa z zającami. Tych jest jeszcze sporo i każdego ranka można było widzieć kilka sztuk. Spotykałem również sarny, ale tylko jałowe kozy. Kozła nie widziałem ani jednego. Co się tyczy kuropatw, to w majątku, w którym bawiłem, nie pozostało po zi-mie ani jednej, a i na terenach sąsied-nich podobno także wyginęły. Zastras-zającą prosto jest w tej gminie ilość drapieżników lotnych: jednego tylko ranka widziałem 3 gołębiarzy, 1 kobu-za i 2 krogulców.

Avifauna jeziora Trockiego jest na

der obfita. Na wodnem przestworzu, zwłaszcza na jeziorze Łuka, rozprze-strzeniającem się za majątkiem Zatro-cze, pływają liczne stada kaczce po 25 —30 sztuk. Z wysp i przybrzeżnych trzcin podnoszą się ciężko czaple siwe lub błyskawicznym lotem śmigają drob-ne kuliki. Niekiedy w powietrzu koły-sze się biała sylwetka — mewy po-spolitej, która żyje z widokiem ludzi, daje łatwo podjechać łodzią na kil-kanascie metrów w przeciwnieństwie do kaczek, które nie dopuszczają bli-żej niż na kilkaset kroków. Rzadkim i pięknym ptakiem, spotykającym się nad Trockiem jeziorem jest orzeł rybo-łów, którego niejednokrotnie widywa-łem o świcie w pobliżu Zatrocza.

Wreszcie chcę jeszcze wspomnieć o zwierzostanie krainy bagien nieprze-bytych rozległych mszarów i borów sosnowych, w pow. Mołodeczańskim. Tam, jak zwykle, kaczek jest mnóstwo, a nad moczarem Jasienowa p. Cywiń-skiej unoszą się stada, dochodzące do dwiestu sztuk. W miejscowości takiej wprawny strzelec już po półgodzinnem polowaniu nie może udźwigać swej zdobyczy. Cietrzewi jest też sporo, a stadka młodych spotykają się na każ-dym niemal mszarze. Natomiast zajęcy jest bardzo mało. Przynajmniej ja nie widziałem ani jednego w ciągu swego kilkunastodniowego pobytu w tamtych stronach. Jeszcze wspomnę o żora-wiach, których stadko, złożone z 4 sztuk, widziałem na łące nad rzeką Cną. W zaroślach spotykałem sporo gołębi i jedną parę jarząbków, która stale przebywała w świerkowym za-gajniku.

L. Pac-Pomarnacki.

Z Towarzystwa Łowieckiego Wo-jewództwa Wileńskiego

Towarzystwo przypomina P.P. Myśli-wym, że w sezonie bieżącym, zgodnie z roz-porządzeniem p. wojewody wileńskiego, po-lowanie na zające (szaraki i bielaki) może być rozpoczęte dopiero w dniu 16 listopada. Identyczny termin (przedłużony) obo-wiązuje również na obszarze województw sąsiednich — Nowogródzkiego i Białostoc-kiego w myśl rozporządze odnośnych P. P. wojewodów.

Do p. p. Czytelników dodatku łowieckiego

P.P. Czytelnicy, którzy są przypad-kowo w posiadaniu zbędnych numerów dodatku łowieckiego, zwłaszcza z lat 1926 i 1927, proszeni są uprzejmie o odstąpienie tych numerów (ewent. za opłatą, jaką sami wskażą) redakcji do-łatku łowieckiego. Łaskawe oferty pro-siny składać pod adresem: Wilno, Urząd Wojewódzki, M. Pawlikowski.

NA CIETRZEWIE

Dnia 2 maja rb. około godz. 16 kończy-łem pośpiesznie robotę biurową; podpisywa-łem ostatnie listy, prawie nie czytając ich. Taksówka stała już przed bramą. Koledzy myśliwi niecierpliwą się, a tu znowu coś do podpisu niosą. Jedziemy do P. na toki cietrzewi, bo to jutro święto, a wieczorem ma-my być na ciągu słonek. Rzucam wszystko, biegnę do domu po strzelbę, chwytam ładunki i jakieś paczki, które mi przezornie przygotowała żona i bez obiadu, ku zgorsze-niu kucharki, siadam do samochodu, w na-dziej, że przecież w P. u naszego gajowego Waluka, coś mi zjeść dadzą. Jedziemy we czterech: magister, p. K., p. S. no i natural-nie ja. Wszyscy, nie wyłączając mnie, my-śliwi zapaleni. W samochodzie ciasno, bo wszyscy jakieś paczki z sobą, zapewne, jak przypuszczam, z żywnością na dwa dni wio-zą. Magister piastuje na kolanach jakąś po-dejrzanie bulgoczącą paczkę i czerwony pa-rasol. Bulgocząca paczka zaniepokoiła mnie, bo przecież wiadomo, że wszyscy czterej ja-steśmy zwolennikami prohibicji i sympaty-

kami T-wa „Trzeźwość“, parasol zaś zdzi-wił mnie, bo pogoda była cudowna, a ja nigdy na polowanie z parasolem nie jeździłem. Magister uspokoił mnie.. W pacz-ce była na wszelki wypadek woda Francisz-ka Józefa, czerwony zaś parasol, magister zabrał z sobą, gdyż, jak mówił, był to je-zgo fetysz, gdynyż mu szczęście, zresz-tą parasol taki, jak twierdził, zawsze się przy-dać może. Zapewne, pomyślałem przezor-ność nigdy nie zawadzi, a że myśliwi są zawsze trochę przesadni, więc i ja w ten fetysz uwierzyłem. Droga do P., jak twier-dził p. S. miała być doskonała. Ruszamy. So-mochód skacze po bruku wileńskim. Jeszcze przed rogatekami wpadamy w jakieś doły, za Wilnem znowu doły i straszne kałuże, sa-mochód sapie, pod spodem coś trzeszczy, co chwila uderzamy głowami w wierzeh pu-dła samochodowego, objamy sobie wzajem-nie boki i jakoś po tej „doskonałej“ według słów p. S. drodze do P. dojeżdżamy o g. 18. Gajowy Waluk zaraz prowadzi nas na słon-ki w miejsce, gdzie, jak mówi, ciągną dosko-nałe. Niestety, nie widzieliśmy ani jednej tylko cietrzewie czuszykały na łąkach za roj-stem, a nad głowami przelatowały cyranki.

Wróciliśmy zmęczeni do chaty Waluka o g. 22, gdzie już czekał na nas samowar i lek-ka przekąska. Rzuciliśmy się na rozeslane siano aby chociaż godzinę odpocząć.

O godz. 12 i pół, a właściwie o g. 0.30, Waluk zbudził nas. Koń już był zaprzężony, bo chociaż do toków było tylko nie całe dwa kilometry, lecz ze względu na zmęczenie, cie-mną noc i moje serce, które, widać z powo-du gorącego umiłowania piękna w naturze pod każdą postacią, jest trochę wyczerpane, postanowiliśmy drogę tę odbyć na wozie.

Syn Waluka, Józef, rozłókował nas w przygotowanych wcześniej budkach. Budki zrobione po mistrzowski, widać, że Waluk pod okiem mistrzów uczył się budki te robić. Doskonale zakryci, mieliśmy siedzenie wysta-ne słomą, dołek na spuszczenie nóg i nawet oparcie z ziemi i miękkich gałązek sosnowych. Noc była ciemna. Na wyskrzonym gwiazda-mi niebie ani jednej chmurki, powietrze mroź-ne, czyste; zbierało się na mróz. Było cicho i uroczyście, tylko nad rojstem słycało było heczenie kszyków, odzywała się sowa w po-bliższym lesie i wtórował jej puszczyk gdzieś niedaleko budki. Nablęm strzelbę i czeka-łem. Powoli gwiazdy zaczęły błędnąć, na

wschodzie zaróżów do się niebo; światło. I nagle tuż przy samej budce, odezwał się cietrzew, z początku nieśmiało, później czu-szykanie było coraz silniejsze, namiętniejsze. Cietrzew wzywał rywali do walki. Słucha-łem z biciem serca, lecz strzelać nie chcia-łem, zresztą cietrzewia nie widziałem. Robi-ło się coraz jaśniej, cietrzew z głośnym czu-szykaniem zaczął się oddalać i oto na ja-skrawem tle wschodzącego słońca, o sto kro-ków odemnie, rozpoczęła się walka. Widzia-łem doskonale dwa koguty jak z rozpostar-tymi skrzydłami nacierały na siebie coraz za-jadlej, podskakiwały, puszyły się i znowu rozpoczynały walkę. Padł strzał. To sąsiad mój, magister, palnął do jakiegoś namiętnego koguta, lecz bez skutku. Cietrzewie narazie zamilkły, potem bijąc się w dalszym ciągu, za-częły się oddalać. Naskoło odzywało się już więcej cietrzewi. Nad rojstem dziesiątki be-kasów wabiły samice beczeniem, samice skro-mnie dawały znać o sobie swoim „tikut, ti-kut, tik, tik, tik“, z pobliskich bagien odzy-wał się kaczor, cietrzewie w oddali belkota-ły, nad głową przeleciał sznur żorawi z ża-łosnym klągorem, gdzieś daleko zawył prze-ciągłe wilk. Wiosenny flirt stworzeń leśnych

DO PARÓW MYŚLIWYCH

W myśliwskim sierpniowym dodatku do „Słowa“, w artykule „Rzadkie ptaki Wileńszczyzny“ wyczytałem wzmiankę że pod Wilnem zabity został „tukan“ (Ramphus magnirostris). Po nieważ zabicie pod Wilnem „tukana“, ptaka, zamieszkującego, o ile się nie myli, Południową Amerykę, do dalekiego lotu, z powodu swej budowy, nie przypodobnego, wydało mi się nie prawdopodobnym, przeto w kołach myśliwych starałem się zasięgnąć co do tego bliższych informacji. Nikt z myśliwych, których znam, nic o zabiciu „tukana“ nie wiedział, zakomunikowano mi tylko fakt, że w roku 1926, przez jednego z wileńskich preparatorów, został sprzedany jakiemuś magnatowi z pod Wilna wypchany „tukan“, jakoby pod Wilnem zabity. Z tego samego zapewne źródła Szanowny Autor artykułu „Rzadkie Ptaki Wileńszczyzny“ otrzymał wiadomość o zabiciu owego „tukana“ pod Wilnem. Jest to więc jakieś nieporozumienie, czy też karygodny figiel któregoś z pp. myśliwych, lub też samego preparatora. Figiel ten nazywam karygodnym dla tego, że wiadomość o zabiciu „tukana“ pod Wilnem, ogłoszona w poważnym piśmie łowieckim, za jakie uważamy obecnie do datek myśliwski do „Słowa“, może być powtórzona przez któregoś z naszych pism przyrodniczych, a stąd dostać się do zagranicznej prasy przyrodniczej, która posądzi nas może o nieuctwo, czy też o świadome wprowadzanie w błąd prasy.

Takich żartów, wprowadzających w błąd ludzi nauki, robić, jak sądzę, nie należałoby.

Wogóle pp. preparatorzy powinni wiedzieć, że obowiązkiem ich jest nie tylko wypychanie, w mniej, lub więcej fantastycznych pozach, nadesłanych im okazów, lecz umieszczanie nazw przy każdym okazy. Jeżeli okaz ptaka jest im nie znany winni zasięgać co do tego rad ludzi kompetentnych, ludzi nauki.

No, ale lepiej już jeżeli ptak wypchany nie jest wcale nazwany, niż gdyby miał być nazwany błędnie, jak to było zapewne z owym „tukanem“.

Ale nie tylko wileńscy pp. preparatorzy grzeszą brakiem wiadomości, potrzebnych przy zawodzie preparatora. Kilka lat temu w gabinecie jednego z moich przyjaciół, zauważyłem wypchaną „śniegułę“ (Plectrophanes nivalis) — zwaną często błędnie „wróblem polarnym“ — która była nazwana przez któregoś z warszawskich preparatorów jako „Pluszcz wodny“ (Cinclus aquaticus).

W zbiorach jednej ze szkół — nie w Wilnie — zauważyłem pyszny okaz

samicy błotniaka zbożowego (Circus cianeus) określony jako „kania wielka“ (milvus milvus).

Horendalne te błędy, a właściwie nieuctwo preparatorów, jest następstwem tego, że właśnie my, myśliwi za mało interesujemy się przyrodą, za mało staramy się ją poznać. Wielu myśliwych nie wie często co bije. Niedawno, na jednym z polowań, dobry i doświadczony myśliwy chcąc zdobyć „korszunka“, jak się wyraził, strzelił do kułki, którą inny myśliwy nazwał „puszka“, i nawet wymienił nazwę takiej (Falco tinunculus).

W związku z powyższym pozwalam sobie wystąpić do Szanownych Kolegów myśliwych z następującą propozycją,

Jesteśmy obecnie w okresie jesiennych przelotów ptactwa. Na polowaniach często udaje nam się zdobyć okaz rzadkiego ptaka. Jeżeli ptak ten jest ładnie upierzony, oddajemy go do wypchania preparatorowi i zawie-

myśniewskiego do „Słowa“, zechce porozumieć się z którymiś z profesorów, zajmujących się badaniem przelotów ptaków i wskaże nam adres, pod który zabite okazy wysyłać należy.

W ten sposób dopomożemy nauce do właściwych badań, w gabinetach naszych będziemy mieli okazy, które będą nie tylko ozdobą ale jednocześnie służyć będą jako okazy przyrodnicze ku nauce kolegów myśliwych i tych nie myśliwych, którzy miłują przyrodę i interesują się jej pięknem. Poznanie ptaków, które bijemy, uchroni nas w przyszłości od lekkomyślnego zabijania ptaków pożytecznych jako „korszunków“, no i uchroni nas od śmieszności nabywania wypchanych „tukanów“, zabijanych pod Wilnem.

Za życia nieodżałowanej pamięci redaktora „Łowca Polskiego“ pana Jana Sztolcmana, zabite okazy ptaków odsyłać można było do Redakcji Łowca Polskiego gdzie pan Sztolcman określał nazwę ptaka, a nawet pośredniczył w odsyłaniu takowego, na żądanie, do preparatora. O ile wiem, śp. pan Sztol-



Aport z wody.

fol. M. Borowski.

szanmy go, jako ozdobę, w naszym gabinecie. Jeżeli zaś ptak jest skromnie upierzony, to nie wiedząc co z nim zrobić, wyrzucamy go, nie bacząc na to, że w ten sposób niszczyliśmy okaz, służyć mogący dokumentem dla wyjaśnienia przez ludzi nauki, szlaków, jakimi ptaki wędrówki swe odbywają.

Czyby nie było wskazane aby, w razie zabicia przez nas w czasie przelotów jakiegoś nieznanego nam ptaka, odsyłać go do wydziału przyrodniczego Uniwersytetu Stefana Batoiego z prośbą o określenie nazwy zabitego okazu. Przypuszczam, że szanowna redakcja naszego sympatycznego dodatku

cmian zdobył w ten sposób pewną ilość ciekawych okazów ptaków przelotnych, które jako wypchane okazy są dziś w muzeum Branickich.)*

Przy wysyłaniu zabitego ptaka należy wymienić miejscowość, gdzie ptak zabity został, dokładną datę zabicia, godzinę, kierunek wiatru i możliwy krótki

*) Sądźmy, że obecnie określanie ptaków, proponowanym przez Sz. Autora, zajęły się Instytut Łowictwa w Warszawie (N. Świat 35). Rzecz prosta — za zwrotem kosztów, względnie, o ile chodzi o członków Instytutu — bezpłatnie. Komunikat o Instytucie Łowieckim podaliśmy w sierpniowym numerze dodatku łow. (Przyp. Red.)

Łowiecka skrzynka pocztowa

W „łowieckiej skrzynce pocztowej“ dodatku łowieckiego umieszczane są odpowiedzi redakcji we wszystkich sprawach dotyczących łowictwa, w szczególności zaś odpowiedzi na zapytania P. P. Myśliwych w sprawach wykładni i praktycznego stosowania poszczególnych przepisów prawa łowieckiego oraz najważniejszych wiadomości z prawodawstwa łowieckiego. Zapytania należy kierować listownie pod adresem: Wilno, Urząd Wojewódzki, M. Pawlikowski. Osoby nadsyłające znaczki pocztowe na odpowiedź otrzymają odpowiedzi listowne niezależnie od ich umieszczenia w „skrzynce pocztowej“.

Panu I. P. w S.: 1) Moc ważności pozwolenia na broń upływa w dniu 31 grudnia danego roku kalendarzowego. Z tego wynika, że ten, kto do daty powyższej nie otrzymał pozwolenia na rok następny, ani nie złożył podania o prolongatę przed upływem tego terminu, posiada broń nielegalnie. Starostwa nasze dają jednak ze względów życiowych — pewien półroczny „termin łaski“, który zależnie od miejscowych warunków, trwa zazwyczaj 1 do 3 miesięcy (licząc od dnia 1 stycznia nowego roku). Po upływie tego terminu niezłożenie podania o odnowienie pozwolenia każe domniemywać się złą woli u posiadacza i Starostwo wymierza karę za nielegalne posiadanie broni, lecz ściśle biorąc, kara taka mogła być już wymierzona w dniu 1 stycznia, bowiem każdy posiadacz broni powinien wiedzieć, że z końcem roku pozwolenie jego traci ważność i powinien sam się zatroszczyć o odroczenie pozwolenia, nie czekając przypomnienia ze Starostwa. Pisz Pan, że podanie o odnowienie złożył Pan dn. 15 sierpnia, czyli prawie po upływie 8 miesięcy od czasu, gdy je Pan powinien był złożyć. To też wnoszę, że Starostwo przyjęło pod rozagę okoliczności łagodzące i usprawiedliwiające Pańską zwłokę, wymierzając niedużą karę grzywny w kwocie zł. 25, gdyż teoretycznie Starostwo miało prawo ukarać Pana grzywną 3.000 (wyróżnie — trzech tysięcy) złotych lub aresztem do 3 miesięcy oraz zarządzić konfiskatę broni. Wnieście przez Pana podanie o wznowienie, już po doręczeniu Panu wezwania o wyzbyciu się broni nielegalnie posiadanej, jest tutaj bez znaczenia.

2) W myśl art. 618 kodeksu postępowania karnego, osoba, której wymierzono karę karno administracyjną, może zwrócić się w terminie 7-dniowym od daty ogłoszenia jej orzeczenia karnego z żądaniem skierowania sprawy do Sądu Okręgowego. Żądanie należy wnieść do Starostwa.

Panu I. Romanowiczowi w Rekscach: Sprawy rybactwa, jako pokrewne sprawom łowieckim, byłyby przez nas chętnie poruszane w dodatku łowieckim. Niestety, nikt w tych sprawach artykułów do nas nie przysyła. To samo dotyczy innych dziedzin pokrewnych łowictwu, np. wspomnianej przez Pana sprawy kultury rolniej w związku z hodowlą zwierzęcą i t. p. Nasz apel do czytelników o współpracę dotychczas większego echa nie budzi. M. P.

ki opis warunków zabicia, t.j. czy zabity został w lot, czy siedzący, czy łatwy był do podejścia, czy był w stadzie, czy leciał sam i t.p.

A możeby tak udało się zapoczątkować w Wilnie gabinet przyrodniczy, w którym umieszczalibyśmy wypchane okazy zwierząt i ptaków, zamieszkujących w Wileńszczyźnie, lub też w Wileńszczyźnie zabitych.

Stefan Rószkiewicz.

i błotnych rozpoczął się na dobre. Życie puszczy domagało się swoich praw w imię wielkich przykazań przyrody, w imię konieczności podtrzymania gatunku. Słuchałem jak gdyby zahypnotyzowany. Wiele już poranków w swoim dość długim życiu przepędziłem zasluchany w te odgłosy przyrody i myślą wielbiłem dzieło Stworcy, zapomniawszy części o polowaniu. I teraz odłożyłem strzelbę i słuchałem.

Widać już było w pewnym oddaleniu budki sąsiadów, lecz ciętrzewie, po t.zw. „szabasi“, zaczęły tokować słabiej, słysząc było zaledwie trzy, czy cztery koguty. I oto stała się rzecz niezwykła, Z budki, którą zajmował p. K., padł strzał, widziałem jak kogut podskoczył i padł na ziemię. Z budki wyszedł p. K. i zaczął zbliżać się do miejsca gdzie padł ciętrzew, nagle położył na ziemię strzelbę, potem zdjął z siebie torbę myśliwską, zdjął powoli kożuszek, z głowy zerwał ogromną czapkę futrzaną, którą nosi zwykłe, gdyż obawia się przeciągów i zaczął biec w kierunku rojstu, po chwili usiadł z zamiarem zdjęcia butów i innej garderoby, lecz posiedziawszy chwilę, wstał, machnął ręką i wszedł znowu do budki. Okaza-

ło się, że postrzelił ciętrzewia i pragnął go schwycić, lecz ciętrzew na nogach zniknął w rojście.

Nad ranem mróz był większy. Tok się skończył. Zmarznieli wróciliśmy do chaty. Jakże gorzko żalowaliśmy swoich prohibicyjnych przekonań i tego że chociaż dla celów leczniczych nie zabraliśmy z sobą trochę alkoholu. Szczęściem magister miał z sobą jakąś nieszkodliwą tinkturę do zewnętrznego użytku, którą zastosowaliśmy do wewnątrz i to nas trochę rozgrzało, tembardziej, że wypiliśmy po kilka szklanek doskonałej herbaty.

Położyliśmy się spać we trzech na rozestawianym obficie sianie na ziemi. p. S. zajął łóżko. Około godz. 11 obudziła mnie rozmowa w sąsiednim pokoju. To p. K. zwierzał się żonie gajowego Walukowej ze swoich cierpień, Walukowa radziła zioła, które jakoby rosły w pobliżu rojstu, gajowy Waluk używanie ziół krytykował, radził natomiast zamawianie przy kole starem, zdjęciem z drzew nianiej osi, gdyby zaś zamawianie nie pomogło radził wyjść w nocy przez okno z pokoju sypialnego, obejść dom z lewa na prawo i wejść znowu przez okno. Miał to być śro-

dek niezawodny, stosowany przez samego Walukę z doskonałym skutkiem. P. K. wierzył jednak więcej w skuteczność kuracji ziołowej i poszedł szukać ziół. Usnąłem znowu nocno, nie budziło mnie nawet pochrapywanie śpiącego obok magistra i jakieś niesamowite, głośnie mruczenie, śpiącego na łóżku p. S.

Pomimo zmęczenia spać długo nie mogłem, około godziny 12 zbudziłem się znowu. Magister chrapał w najlepsze, natomiast p. S. wykonywał jakieś gwałtowne i nieokreślone ruchy, których znaczenia zrozumieć nie mogłem. Człowiek solidny, spokojny, jakim jest p. S., przewracał się z boku na bok, podnosił koldrę i znowu gwałtowne ruchy wykonywał ręką prawą i lewą. Sądziłem, że jest to atak epilepsji, a że wierzę zawsze w skuteczność pomocy ludzi światłych, więc obudziłem magistra. Przestraszony magister obudził p. S. krzykiem. Okazało się, że wszyscy stkie pasożyty, znajdujące się w łóżku, napadły na p. S., który przez sen bronił się, jak mógł, lecz bezskutecznie. O śnie nie było już mowy, a że p. K. wrócił już, kwaśny z bezskutecznego poszukiwania ziół leczniczych, więc zasiadliśmy do obiadu, który zgotowa-

wała nam Walukowa, a który smakował nam bardzo.

Wieczorem poszliśmy znowu na ciąg słonek. Ciągnęła tylko jedna i to bez chrapania. O godz. 1 Waluk zbudził nas znowu na toki. Ciętrzewie tokowały słabiej ja nie strze- lałem, bo nie blisko budki nie widziałem. Natomiast p. K. zabił ślicznego koguta.

O godz. 6 rano zajeżdżał po nas samochód Syci wrażeń, po napiciu się herbaty, zamierzaliśmy wsiąść do samochodu, lecz nie było p. K. Na nasze głośnie nawoływania zjawił się nareszcie z ogromnym kołem od wozu, które kupił w sąsiedniej chacie, lecz miejsca w aucie nie było i koła zabrać nie mógł. Ostatecznie p. K. postanowił wrócić do Wilna koleją sam. Czy przywiózł z sobą kupione koło, nie wiem, nie wiem również czy poskutkowało zamawianie, lecz niedawno spotkałem się z p. K. Wyglądał znakomicie i był bardzo wesoły, widocznie więc cierpienia jego skończyły się. Magister swojego czarodziejskiego parasola, widocznie przez zapomnienie, nie zabrał, może uważał, że fetysz ten stracił swoją siłę.

O godz. 7 i pół byliśmy w Wilnie, a o g. 8 siedzieliśmy przy swoich zajęciach. S.R.

ZAJĄCE GINĄ

Rozporządzenie o przedłużeniu czasu ochronnego na zające wielu myśliwych spotkało z pewnym niezadowoleniem, twierdząc, iż żadnej korzyści to nie przyniesie, gdyż „kłęska zająca” wyłącznie zależna jest od rozpowszechnienia się wnykarstwa.

Trudno z takim zdaniem zgodzić się. Najwięcej zające niszczy myśliwy, polujący „na pomyka” (deptaka). Przy tym sposobie polowania giną zwykle samice, gdyż bliżej dopuszczają myśliwego i wyrwyją się „z pod nóg”. Najdogodniejszym miesiącem do polowania „na deptaka” jest bezwzględnie październik, ponieważ nie jest jeszcze zbyt chłodno i można chodzić w lekkim ubraniu, a przytem chodzenie po polach, niepokrytych jeszcze śniegiem nie jest jeszcze zbyt trudne. Dla takich to więc „panów myśliwych” rozporządzenie p. wojewody jest rzeczywiście „kłęską zająca”.

Muszę jednakże również przyznać rację twierdzeniu, że jeszcze większą plagą na zające są wnykarze. W ciągu dziewięciu lat polowałem na tych samych terenach w województwie Białostockim i tam, gdzie poprzednio rok rocznie padało 200 — 300 zające obecnie można upolować najwyżej 20. Choć zają wnykarstwo pozostało nam w spuściznie po Niemcach, lecz zaczęło się rozpowszechniać się dopiero w roku 1924 i w ciągu trzech lat tak się rozpowszechniło, że w 1927 r. nie spotkałem już terenów, gdzieby nie było wnykarzy. Polując w ub. roku w niewielkim lesie osobiście zjadłem 36 wnyków. A co może zrobić jeden wnykarz niech świadczy następujący fakt. Po polowaniu w oczekiwaniu na pociąg siedliśmy na małej stacji. Stróż stacyjny, zapalając światło, zaczął z nami rozmowę o polowaniu, w trakcie której prostodusznie powiedział: „ot, panów dziewięciu, a zające tylko jedenaście, mój brat w zeszłym roku sam jeden za zimę złapał w sidła 108 zające; jednego dnia przy niósł 12.” I takich kłusowników jest w każdej wiosce kilku, więc gdzież tu mogą uchować się zające!!

Mówią o jakichś chorobach, od których rzekomo zające wyginęły, lecz osobiście tego nie zauważyłem, i jako dowód, że tak nie jest, mogę przytoczyć fakt, że na terenie lasów państwowych, dzierżawionych przez pewne kółko myśliwych, w 1928 roku na dwóch polowaniach padło 75 i 78 zające, w poprzednich zaś latach na rozkładzie było daleko mniej. Dowodzi to, że ilość zające zwiększyła się. Trzeba przytem zaznaczyć, iż teren, o którym wspominałem, jest właściwie niedogodny do hodowli zające, gdyż jest to stary las, ciągnący się bez przerwy na setki kilometrów i obfitujący przytem w lisy i na jednym z tych polowań padło 13 lisów i na drugim — 8). Przyrost zające należy w tym wypadku zawdzięczyć wyłącznie dość dobrze postawionej ochronie; — wnykarzy tam rzeczywiście prawie niema. Piszę „prawie”, bo i tam zabiłem lisa z drutem na szyi.

Walka z wnykarstwem jest daleko trudniejsza niż ze zwykłym kłusownictwem, bo kłusownika z dubeltówką łatwiej zauważyć i ująć, a przytem odebrana broń już jest dowodem rzeczowym, wnykarza zaś trzeba złapać na gorącym uczynku i nieraz złapani przez gajowego wnykarz wykręcał się w sądzie od kary tem, że pociągnięcie do odpowiedzialności go tłumaczył osobistą zemstą gajowego, a więcej świadków nie było.

Trzeba nad plagą wnykarstwa dobrze po myśleć i coś zaradzić, gdyż prędko przyjdzie czas, że zające zupełnie wyginą.

Ze swej strony uważam, że dużo korzyści mogliby przynieść nauczycielowie szkół

powszechnych, pouczając młodzież o szkołach, wyrządzanych przez wnykarstwo. Wytepić wnykarstwo mogliby radykalnie sołtysi i wójtowie, gdyż każdy wnykarz w wiosce dobrze im jest znany. Rozmawiałem z pewnym sołtysiem, który przyznał się mi, że wsi stłkich co „łapią zające” dobrze zna, lecz „nie ma czasu” nimi zajmować się, a po wtóre, nie chce narażać się na złe stosunki. Czy nie można byłoby częściej odpowiedzialności za wnykarstwo przenieść na tych administratorów?

Czy nie można również uczynić odpowiedzialną za wnykarstwo spółkę łowiecką, powstałą w myśl art. 14 ust. łow.?

Również policja według mego zdania mało interesuje się tą sprawą. Szczególną uwagę należałoby zwrócić na handlarzy skórkami. W każdej miejscowości skupowaniem skórek trudni się przeważnie tylko jedna osoba, dobrze znana policji, więc łatwo dowiedzieć się od niej w jakiej wiosce kto sprzedaje skórkę. Można byłoby wprowadzić nawet pewne ograniczenie w sprzedaży skórek, na przykład, żeby na każdą ilość skórek nabywca posiadał zaświadczenia pochodzenia w których wskazany byłby sprzedawca i numer karty łowieckiej.

Nad tem warto pomyśleć, gdyż, powtarzam, zając wkrótce stanie się rzadkim zwierzem.

Erge.

Nowy podręcznik prawa łowieckiego

Zapowiedziana przez nas książka p.t. „Prawo łowieckie — komentarz dla województw Wschodnich” jest już w druku i ukaże się wkrótce. Autorem tej książki jest mag. praw i radca wojewódzki w Wilnie p. M. Pawlikowski. Książka ta została zalecona przez Pana Wojewodę Wileńskiego do użytku urzędników starościńskich i samorządowych oraz będzie zalecona przez Komendę Główną P.P. — do użytku funkcjonariuszów policji. Zawiera ona prócz obszernych komentarzy do wszelkich budzących lub mogących wzbudzić wątpliwości przepisów prawa łowieckiego pełne teksty prawa łowieckiego, wszystkich rozporządzeń wykonawczych oraz t.zw. „kalendarz myśliwski” t.j. poglądową tabelkę graficzną czasów ochronnych na zwierzynę. Czytelnik znajdzie w tej książce odpowiedzi na pytania: jak tworzą się obwody łowieckie? kto ma prawo polować z gończyymi? i t.d. Zaznacza się, że książka jest napisana przedewszystkiem pod kątem potrzeb i warunków województw Wschodnich, uwzględniając odmienną strukturę gospodarczą ziem naszych, co zwłaszcza w kwestji tworzenia obwodów łowieckich jest nadto aktualne. Czysty zysk ze sprzedaży tej książki przeznaczony jest na cele kulturalne sekcji łowieckiej Policji i Klubu Sportowego w Wilnie. Zamówienia należy kierować pod adresem: Wilno, Komenda P.P. m. Wilna, Policji i Klub Sportowy.

Dowiadujemy się, że zamówienia, które dotychczas wpłynęły, przerosły znacznie spodziewaną ilość, to też nakład „Prawa łowieckiego” zostanie prędko wyczerpany. Radzimy przeto śpieszyć się z zamówieniami.



R. TOMAUCH.

„WYŻEL WAJMARSKI”

Typu tego psa nie widzimy ani na wystawach, ani na próbach polowych. Zajmując się hodowlą jego od lat dwudziestu, postaram się zaznajomić z nim szerszy ogół naszych kinologów.

Jako adjunkt leśny zostałem przydzielony do rozległego nadleśnictwa nad rzeką Morawą. Teren był równy, usiany licznymi jeziorkami leśnymi i znakomicie obsadzony zwierzyną. Chodziło o wybór odpowiedniego pomocnika czworonożnego. Miałem różne psy, lecz żaden mnie nie zadawała. Na myśl mi przyszedł przed laty widziany w Tyrolu pies wajmarski. Przez czas dłuższy obserwowałem wówczas jego pracę przy każdej zwierzynie, poczynając od słonki — kończąc na jeleniu. Zdobyłem wreszcie podobny okaz — i jestem zupełnie zadowolony...

Wyżel wajmarski ma w sobie prócz krwi tropowca pewną domieszkę wyż-

ła długowłosego, co potwierdza jego skłonność do tropienia.

Kolebką jego jest dwór wajmarski, gdzie hodowano go przed zgórą stu laty bez ksiąg rodowodowych. Klub hodowców tego psa zawiązał się w Niemczech w roku 1897 — i liczy obecnie 150 członków.

Cechami charakterystycznymi wyżła wajmarskiego jest przedewszystkiem maść, kontury głowy i uszu, wreszcie sierść i budowa ogólna.

Maść trzyma się w tonach od jasno srebrzysto popielatej do ciemno popielatej — bez odcieni żółtych i plam białych.

Głowa szczuplejsza niż u wyżła niemieckiego, morda sucha i muskularna, tworząca wydłużony nieco, regularny prostokąt. Kość nosowo-czołowa wydłużona bez wyraźnej zakłębłości między oczami.

Uszy lekkie, wysoko osadzone, u dołu nieco kmiasto zakończone —

Remizy i ich znaczenie w łowiectwie

Od czasów wielkiej wojny słyszy się ustawiczne narzekanie myśliwych na zanik zwierzyny w naszych kresowych łowiskach. Przyczyn zmniejszania się ilości zające lub kuropatw jest niewątpliwie b. wiele, ale bodaj że najgłówniejszą będzie brak zainteresowania się myśliwych warunkami, panującymi w ich rewirach. Dotychczas zwierzyna było dużo i właściciel terenu nie potrzebował ograniczać swej namietności łowieckiej jedynie do odstrzału nadliczbowych sztuk, dziś, niestety, czasy się zmieniły i ten, kto nie dba o swój zwierzostan — zmuszony będzie do odstrzału na ścianie na dłuższy przeciąg czasu. Bowiem prawdziwie „dzikiej” zwierzyny nie na długo już wystarczy. To też cały kulturalny świat myśliwski zajął się usilnie hodowlą zwierzyny i wszelkimi udogodnieniami, mającymi na celu stworzenie warunków jak najbardziej odpowiednich dla jej życia i rozmnażania.

Jednym z najgłówniejszych środków hodowlanych jest dostarczenie zwierzynie kryjówki przed dwiema i czworonożnym drapieżcą, kryjówki przed chłodem i zamięcią. Jakże ciekawo widzi się w zimie biedne kuropatwy tulące zwartą gromadką do nieskazitelnej białej śniegu, na której dostrzeżę je z łatwością oko jastrzębia lub kłusownika, jadącego „na objazdkę” zające. Rozkwitające z każdym rokiem rolnictwo, ruguje z obszarów pól wszelkie zagajniki i krzewy, będące ostoją polnej zwierzyny, która, pozbawiona schronienia, staje się łatwo łupem wszelkiego rodzaju drapieżników. To też bodajże jedynym sposobem ratowania tak bardzo już nielicznej naszej zwierzyny, jest urządzenie na polach remizy cz. obszarów zasadzonych gęstymi krzakami, wśród których zarówno zające, sarna, jak i kuropatwa znajdzie ukrycie i żer, nie potrzebując zbliżać się do siedzib ludzkich, gdzie je prawie zawsze czeka śmierć.

W literaturze łowieckiej istnieje wiele źródeł, skąd można czerpać wszelkie szczegóły dotyczące urządzania remizy, to też nie zamierzam opisywać dokładnie tego, co już niejednokrotnie kreśliły pióra bardziej kompetentne od mojego. Ograniczę się jedynie do ogólnych wskazówek, jako myśliwy, nie posiadam w tej dziedzinie dużej praktyki, to też zasięgałem porad u starszych Niemrodów i hodowców, dzięki którym wskazówki poniżej umieszczone w zupełności wystarczą do ogólnego zobrazowania tak potrzebnej nam w dzisiejszych czasach remizy.

Perwsem pytaniem, jakie może się nasuwać, jest: jak i gdzie trzeba zakładać sztuczne schronienia dla zwierzyny? Remizy trzeba zakładać tylko tam, gdzie są wielkie przestrzenie pól i łąk, pozbawione wszelkich niskich zagajników i kęp zarosłych krzewami. Jeżeli ktoś posiada wśród terenów uprawnych gęsto zarosłe łąki lub inne jakieś gęstwiny krzaków, to naturalnie sztucznych schronów robić nie potrzebuje. Ci zaś wszyscy, którzy takich zadrzewionych wysp na polach nie posiadają wini urządzić łowiecką remizę.

W tym celu należy obrać o ile możności w środku swych zagonów jakąś najmniej użyteczną część pola, zdala od dróg, no i granicy złego sąsiada, by zwierzynie zapewnić zupełny spokój. Obszar naturalnie może być dowolnej wielkości, przychem pożądana jest bliskość wody chociaż nie jest to rzeczą niezbędną i ostatecznie zwierzyna sama ją znajdzie. Sama remiza musi jednak być sucha, i nie należy do tego używać mokradł lub błot. Teren pod remizę trzeba dobrze zasilić nawozem, następnie zorać, zabronować i

dopiero wówczas przystąpić do zasadzania krzewów. Dla zaoszczędzenia kosztów można wykorzystywać jakieś drobne zarośla w pobliżu siebie leżące i zadrzewiając wolne od krzewów przesmyki, łączyć je ze sobą, w jedną całość. W szczególności nadają się w tym celu zarośla łożowe i jałowcowe, tak często spotykane w postaci małych gąszczów rozsianych na terenie pól i łąk. Kształt tych sztucznych schronów może być rozmaity, jednak za najlepszy uważa się prostokątny, a to dlatego, że jest najbardziej podłużny i przez to zwierzyna w razie niebezpieczeństwa prędzej natrafi w ucieczkę na remizę. Co do wielkości, to jak już zaznaczałem, może być ona różna. Naogół przyjęto jest na 100 ha robić remizę 1 ha. Przystępując do zadrzewiania, trzeba się starać by brzegi zasadzić krzewami takimi, które i w zimie nie tracą liści, zatem najlepiej drzewami iglastymi jak świerk, sosna, jałowiec. Takie obramowanie wstrzymuje się wiatrów i zapobiega tworzeniu się wewnątrz remizy zasp śnieżnych. Całego obszaru remizy nie należy obsadzać zbyt gęsto: muszą tam być i polanki niezarośnięte, na których zwierzyna lubi żerować i wygrzewać się na słońcu. Kuropatwy odbywają tam latem tak zwane „kapielenie” w piasku.

Do zasadzania remizy używa się wszelkich krzewów (tylko nie drzew!), które się rozrastają, tworząc gąszcze, potrzebne dla zwierzyny. Najlepiej jest w tym celu używać krzaków, dających jagody lub nasiona które w zimie dostarczają pożywienia nie tylko ptactwu łownemu, ale i innym pożytecznym ptakom, które chętnie z tego pożywienia korzystają. Najodpowiedniejszymi dla remizy będą: jałowiec, berberys, głóg, kruшина, bez koralowy, trzmielina i kalina, używa się także łoży, żarnowca, bulwy, leszczyny, trwałego łubinu, porzeczki i agrestu.

W dzisiejszych czasach, gdy tak trudno o pieniądze, każdy hodowca winien się starać, by urządzenie remizy jak najmniej go kosztowało i zasadzić ją tem, czego najwięcej w swym majątku posiada, a innych krzewów tylko trochę dodawać dla urozmaicenia. Lepiej będzie gdy zaoszczędzone pieniądze sprowadzi do swego rewiru kilka par kuropatw, czy też parę saren, niżby miał urządzić zbyt kosztowną remizę, w której błakałaby się jakaś para zdegenerowanych jego zające.

Aby zwierzyna przywykła do remizy i faktycznie z niej korzystała, trzeba zapewnić jej w tem schronisku zupełny spokój. To też nie można urządzić remizy tuż przy ludnych drogach, czy też ludzkich osiedlach. Wykluczyć trzeba wszelkie pisanie bydła i polowanie. Nawet częste spacer y ludzkie po tem schronisku są niedopuszczalne. Również bacznie trzeba pilnie, w remizie nie osiedliły się drapieżniki zarówno lotne jak i czworonożne. W tym celu dobrze jest przeciąć teren zadrzewiony parą ściągkami, a jeszcze lepiej łapać w potrzaski wszystkich niepowołanych gości.

W zimie można urządzić w remizie lub przy niej pańniki z pokarmem dla zwierzyny. Ma to tę stronę, że ptaki, jak i zwierzęta ssące przywykają do tego schroniska i na wiosnę, podczas legu, chętnie z niego korzystają, przez co unika się tak szkodliwego niszczenia gniazd w czasie żniw i sianokosów.

Gdyby te moje luźne wskazówki zachęciły chociaż paru p.p. myśliwych do założenia u siebie takiej remizy — byłby to niewątpliwie sukces w dziejach naszego, kresowego łowiectwa.

Leopold Pac - Pomarnacki.

przylegają do głowy falisto — nie zaś gładko, jak u wyżła niemieckiego.

Sierść, pokrywająca stosunkowo grubą skórę, przypomina nieco uwłosienie gryfona. Z jednego punktu wyrasta cały kosmyk włosów, z których 10, 15 krótszych zwleńia się — 2—3 dłuższych przylega szczelnie do skóry.

Budową ogólną nie różni się wiele od niemca — niekiedy bywa od niego nieco dłuższy.

W spokoju, — bez podniecenia — muskulatura jest mniej wyraźna jak u niemca. Wadą estetyczną są odstające zanadto przednie łopatki — jako dziełstwo po przodkach — tropowcach, prowadzących nos stale nisko po ziemi. — Ogon — gruby u nasady — bywa krótko przycinany.

Pod względem utalentowania, może wyżel wajmarski konkurować z każdym innym, temperamentem i tropieniem przenosi nawet swych kolegów.

Podczas mego pobytu w Niemczech celem nabycia tych psów w ma-

ju 1923 i styczniu 1924 r. odwiedziłem większość hodowców „wajmaraka” czystego typu (na życzenie służyć mogą adresami).

Wajmarski wyżel typem zupełnie odosobnionym, nie mającym nic wspólnego z psem niemieckim. Jego hodowla w Niemczech jest prowadzona w dwóch odmianach: turyńskiej — lekkiej, podobnej do pointera — i — wschodnio fryzyjskiej, cięższej. Chcąc psa tego przyswoić naszej kinologii — zakupiłem psa „Argo von Bundhat” (ks. rod. Nr. 328) i sukę „Gerda von Bertholdsburg — Scheusingen” (ks. rod. Nr. 329). Obojga premjowano na wystawach, Argo zaś i na próbach polowych.

Nie mam tu na celu obniżać wartości naszego materiału chownego, chcę jedynie zwrócić uwagę naszych myśliwych na nieznany dotąd typ psa, który zaletami łowieckimi na poznanie go zasługuje.

Spolszczył Wł. Karnkowski.